



GUSTAW DANIŁOWSKI

# NA WYSPIE

WARSZAWA  
STEFAN DEMBY  
1902



NA WYSPIE.

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa.

---

---

GUSTAW DANIŁOWSKI.

NA WYSPIE.

POEMAT.

---

---

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.  
STEFAN DEMBY.  
MCMII.



WSTĘP.





**S**twórca, wywiódszy z mrocznych sił chaosu  
Pierwiastek ducha, pomieszał pospołu  
Wszystko na ziemi — i zdjął z niej swe palce.  
Odtąd duch, pragnąc zyskać władzę losu,  
Z instyktów ciemnią, z ślepotą żywiołu  
Walczy i wciąż się doskonali w walce.

I gdy tak szala dziejowa się zważa,  
Każde ogniwo nowych walk łańcucha  
Bierze początek na tych szczytach ducha,  
Gdzie się konieczność w wolność przeobraża.

A czasem światu w otchłaniach eterów  
Nieskończoności bijące zegary  
Uderzą w groźne i złowrogie nuty:  
Ludzkość lży wówczas własnych bohaterów,  
Plwa na ołtarze zapału i wiary  
I, niby więzień do taczki przykuty,  
W rydwany losu ślepego się wprzega.  
Łańcuch przeznaczeń tak się mocno spina  
I sił brutalnych tak wzrasta potęga,  
Że duch zgnębiony, zdaje się, umiera...

Lecz jest to tylko przełomu godzina,  
Znak, że dla świata wschodzi nowa era,  
Bo, gdy tchu braknie i wszystko zawodzi,  
I rozpacz chwyta i niema nadziei,  
A sploty więzów Fatalność zaciska, —  
Duch w udręczeniu nagle płomień rodzi,  
Rzuca nazewnątrz w postaci Idei  
I wznieca światu wolności ogniska.

PIEŠŇ I.



Ponad wyniosłą wyspą karawany  
Gwiazd zwolna płyną, wśród nich mleczna droga  
Rozwiesza swoje posrebrzane piany;  
Brzeg morza — cichy; fala u skał proga  
Marszczy się gniewnie, zatrzymana w biegu  
I błyska grzbietem, jak klingą ze stali.  
Gmachów szeregi ciągną się od brzegu,  
Puste, bez świateł; za niemi w oddali  
Wielkie ogrody zapachami dyszą,  
W wiosennej nocy zatopione czarze.

Na środku wyspy zato gwar i wrzawa!  
Tam święto pieśni obchodzą wyspiarze:  
Starym zwyczajem, według księgi prawa,  
Kto najpotężniej dusze rozkołysze,  
Kto serc najwięcej zyska twórczą władzą,  
Tego na tronie królewskim osadzą.

Więc na to miejsce, gdzie będą turnieje,  
Z wieńcami w ręku tłum się lawą łaje,  
Wesoły, lekki, przybrany jak w święto,  
Obok trybuny półkolem się ściska,

Zajmuje miejsca... Błysnęły ogniska,  
Dzwon drgnął i jęknął. I turniej zaczęto.

\* \* \*

Niegdyś jak ogień z wulkanicznej szluzu  
Świetlane zdroje były z wyspy wnętrzy;  
Dziś nic nie tryska z wygasłych kraterów,  
Na miejscu świątyń rozsypanych w gruzy  
Kościół złotego Molocha się piętrzy,  
A w nim napróžno szukać bohaterów.

Minął ów okres, gdy jak ptaki świetne  
Z wyspy się owej wznosiły sztandary,  
Niosąc na zwojach swych hasła szlachetne  
Wolnej braterstwa i równości wiary.

Wierzono wówczas, że duch ludzki potnie  
Wszystkie swe więzy, nowy świat wyłoni...  
Więc i lud z lądów rwał się też do broni.  
Minął ów okres, minął niepowrotnie.

Wyspa, jak nigdy, stała się bogata,  
Lecz, snać, trucizna była w sytym chlebie,  
W złotej kolebce duch zmalął na karła,  
Z kwiatu się stała pasorzytem świata,  
O sobie myśląc i żyjąc dla siebie,  
Braterskich związków z lądem się wyparła

I, morzem życia od niego odcięta,  
Dała mu trudu dzień, a sobie—święta.  
W zaraniu owych zmian umarł król stary,  
Co, niby orzeł, skrzydłem swej potęgi  
Nad całym światem opisywał kręgi,  
Wzrokiem przenikał przyszłości obszary.  
W wieszczych przecuciach, co na wyspie będzie,  
Tak się król męczył i szarpał w rozterce  
I w miarę cierpień tak wzmógł się na sile,  
Że się pogрузzył w tragicznym obłędzie..  
Tak mędracy wyspy nazwali te chwile,  
Gdy to zbolełe i szlachetne serce  
Przerosło myśli najśmielszej krawędzie  
I, pogardziwszy śpiewaka wawrzynem,  
Chciało zakończyć pieśń godnym jej czynem.

Próżno król błagał u Boga dusz rządu  
I chciał przemienić ruch fatalnej szali:  
Z wyspiarzy—nawet najbliżsi ziomkowie  
Nie uniknęli samolubstwa trądu.  
I po ich sercach, jak piorun po stali,  
Dziś się ślizgają w pieśni jego słowie  
Zakłętę myśli i uczuć pożary,  
A jeśli nawet powtarzają usta  
Modlitwy jego—jest to tylko pusta  
Forma obrządku, pozbawiona wiary.

Święty proch króla grób owinał w noce,  
A kwiaty ducha wciąż czekają jeszcze,  
Aż z łądów trysną ros ożywczych deszcze,  
By je przemienić na czynów owoce.  
Czekają zdawna. Barwa ich kobierca  
Nic nie straciła jednak z swojej siły,  
Jakby król wstawał nocami z mogiły,  
By je polewać krwią własnego serca.

Lecz dzisiaj ciche z marmurów pościele.  
Spokojnie, widać, prześpią noc popioły.  
By nie zbudziło ich wyspy wesele,  
Przy grobie milczeń stanęły anioły  
I, skrzydła nad nim złączywszy namiotem,  
Patrzyły w niebo, splakane gwiazd złotem.

\* \* \*

Wyspa się bawi. Plac, domów krużganki  
Tłumem się barwnym zapełniły szczelnie.  
Czterech pieśniarzy zgłosiło się w szranki:  
Zwycięzca — królem! Władać niepodzielnie  
Ma wyspą całą, póki świeże wianki  
Laurów nie zwiędną na królewskiej głowie.  
A gdy liść zeschnie i w proch się spopieli,  
Wystąpią wyspy przedniejsi posłowie  
I król swą władzę wraz z nimi rozdzieli. —



I oto teraz los się właśnie waży,  
Dla kogo laury i komu korona.  
Już prześpiewało trzech głośnych pieśniarzy —  
Czekają jeszcze kolei Dajmona.

Dajmon — najmłodszy, w śpiewaków drużynie  
Gościł dość dawno, lecz złą zyskał sławę.  
Lud wyspy sarkał, że jego pieśń płynie  
Błędnym korytem, że zgrzyty jaskrawe  
Mącą melodyę; a twarda i ostra  
Jego wymowa boli, lecz nie pieści,  
Że muza jego — to zdziczała siostra  
Muzy niebianki, że łądów boleści  
Chłoną mu duszę; z ich poziomej bryły  
Czerpie natchnienie — niepomny o niebie,  
I w tych nizinach iskrę Bożą grzebie,  
I że go szkoda, bo zdradza dość siły.

Raz, by go skarcić, zwołano nań sądy  
I chciano struny mu poszarpać w lirze,  
Gdy na zarzuty odpowiedział hardo,  
Że te poziome, szare smutne łądy  
Mogą dziś patrzeć na wyspę z pogardą;  
A oni wszyscy — to nie dzwonów spiże,  
Ale grzechotki z pozłacanej gliny,  
Z których brząkania nie zrodzą się czyny;

Że go na widok tej wysepki szczytów  
Nie ogień dumy, ale wstydu pali,  
Bo jest to wszystko jak rafa z koralu,  
Nabrzmiała krzywdą milionowych bytów!

Od czasu sądu rozdrażniony, dziki,  
Pełen zadumy i tajonej męki,  
Błądził po brzegach, słuchając muzyki  
Fal oceanu, i twierdził, że jęki  
I płacze słychać, co na skrzydłach prądów  
Lecą przez morze ku wyspie od łądów.  
Często też mawiał, że próżno, niestety,  
Należnych danin łąd od wyspy czeka,  
Choć przyszedł termin spłacić dług do szczętu!  
Że w trumnie musi jęczeć trup poety,  
Wielkiego króla — „pierwszego człowieka“,  
Że nie chcą spełnić jego testamentu.

Czasem znów rzucał proroctwa złowieszcze,  
Że stać się może, iż przez wyspy winę  
Nagle wytrysną z łądów krwawe deszcze  
I całą wyspę obrócą w perzynę!  
Lecz się od niego odwracano wszędzie  
Z politowaniem, a nawet ze wstrętem:  
Chory, mówiono, w dziwacznym obłądnie  
Wichrzenia demon mózg mu splątał pętem...

I stąd Dajmona przyłgnęło doń imię.  
Dziś słowo „Dajmon“ znów wbiegło na usta;  
Jednych wzburzyło zuchwalstwo olbrzymie,  
Innych wesołość ogarniała pusta,  
I śmiech kaskadą rozlał się po placu,  
Gdy wieść gruchnęła przy odgłosach dzwonu,  
Że ten szaleniec w królewskim pałacu  
Zamyśla osiąść i pnie się do tronu.

Ale po pierwszym szyderstwa wybuchu  
Przeszła po tłumie, jakby trwoga ciemna,  
Że władza pieśni — ta siła tajemna  
Może w zbłąkanym objawić się duchu.  
To też, gdy Dajmon znalazł się w arenie,  
Cisza zawisła nad słuchaczy ściskiem,  
A twarz Dajmona stała się ogniskiem,  
W którym się zbiegły wszystkich ócz promienie.

Młodzian tymczasem powoli i dumnie  
Deptał po stopniach, obitych w szkarłaty,  
Aż w końcu stanął na trybuny szczytach.  
Twarz miał tak bladą, jak umarli w trumnie,  
Wzrokiem marzącym tonął gdzieś w błękitach,  
Jak gdyby patrzył nie w świat, lecz za światy,  
I w zachwyceniu tajemnej zadumy  
Nie wiedział o tem, że go śledzą tłumy.

I słychać było, jak się chwieją łuny  
Płonących ognisk, jak wrą morza wiry...  
Aż wtem wśród ciszy rozległ się płacz struny —  
Dajmon, niechący, dotknął dłonią liry,  
I, jakby w dźwięku tym tkwiła podnieta,  
Wraz z głosem liry ocknął się poeta.

Drgnął tak, jak dziecko, przerażone we śnie,  
Twarz się pokryła plamami rumieńca  
I w pół szyderczo, a napół boleśnie  
Rzucił tłumowi: „Jam chory, albowiem  
Sny mnie mordują w nocy, jak szaleńca;  
Wczoraj nad morzem znów stanął przedemną  
Sen taki dziwny, że go wam opowiem,  
Bo, choć odgadłem treść jego tajemną,  
Pragnę, by zdrowi mogli go osądzić!  
Zresztą być może, że to sen prorocy.

Umilkł na chwilę; podniósł w niebo oczy  
I zaczął dłonią po srebrze strun błędzić,  
Aż szarpnął wszystkie i z dźwięków chaosu  
Dobyl melodyę; potem słowa głosu  
Rozpoczął rzucać w grania swego nutę,  
Aż z nią się razem spłynął głos głęboki,  
Niby dwóch źródeł dwa górskie potoki,  
Łożyskiem skały w jedną rzekę skute.

## SEN.

Słońce konało już, a wieczorowe łuny  
Wiązały morza pierś w różowe upowicia,  
Drgające smugi fal, niby olbrzymie struny,  
Śpiewały wielki hymn wiecznego smutku życia;  
I ostrym zrębem skał wstrzymane nagłe w biegu  
Pękały z jękiem w pół, niby obręcze złote,  
I szły na morze wstecz, roznosząc swą tęsknotę  
I straszny płacz przez całą długość brzegu.

Złudzenie-m zrazu miał, że słyszę w fali szumie,  
Jak gdyby ludzki głos wyklinał nasze imię;  
To znów, że jakiś był, co siły ma olbrzymie,  
Z topieli pragnie wyjść i wyrwać się nie umie.

Powoli zachód gasł, noc kirem kryła tonie,  
Ocean wrzał jak wulkan u mych stóp,  
Szarpała mi się myśl, ścisnęło serce w łonie,  
Opadłem w końcu z sił i jak bezwładny trup  
Ległem na łono skał i umierałem w męce,  
Aż przyszedł sen, kojący niosąc czar,  
Na czole mem położył ciche ręce  
I myśli mych wzburzonych stłumił gwar.

I zdało mi się w śnie, że mgła na ziemię padła,  
A przeraźliwy krzyk, jak wrzaski morskich mew,

Przewiercił uszy me; okropne snu widziadła  
Tłumiły oddech płuc, mroziły w sercu krew.

Wkońcu ujrzałem tłum, obdarty lud i błądy,  
Co głucho wył, jak odmęt morskich fal,  
Strumieniem pot oblewał te gromady,  
Przed niemi ból, za niemi włókl się żal.

I zwartą ławą szły oddziały te tułacze;  
Niewoli bicz darł ciała w krwawy strzęp,  
Przemocy dłoń dławiała w piersi płacze,  
Z wywiedłych serc zwątpienia czarny sęp  
Krew ssał.

A pośród tych nieprzeliczonych tłumów  
Demony zła sprawiały orgii szał,  
Pijane krwią wsysały się do ciał,  
Pustosząc wnętrza serc i duszy i rozumów.

Ujrzałem naprzód tę, co tych paryasów pędza,  
Jak żądz zwierzęcych jad sączyła im do ran,  
Wołając: „Nuże — hej! ja każe — Nędza, Nędza,  
Wasz król, wasz Bóg, wasz samowładny Pan!“

„A niepokornych mi za buntownicze chęci  
Zabiję mocą swą, na ziemię zwałę w pył,  
Przed śmiercią pošlę Głód, co kiszki wam pokręci  
I wyżre z kości szpik i krew wam wysie z żył!“

„Pokornym ulżę los: im tylko Troski przedza  
Pokryje siatką twarz, poorze niby łąn —  
Dalej! bo zmiążdżę was ja — Nędza, Nędza, Nędza,  
Wasz król, wasz Bóg, wasz samowładny Pan!“

„Jam matka tym, co w posłuszeństwa wierze  
Wytrwają mi, — obietnic spełnię ślub:  
Kęs chleba dam czarnego na wieczerzę,  
Łachman na grzbiet i ziemi szmat na grób“.

„Za buntu dreszcz każdego w proch bym starła  
I biada tym, co zechcą kląć swój stan!  
Swą ciężką dłoń położę im na gardła,  
Bom król wasz, Bóg, wasz samowładny Pan!“

Za Nędzą w trop posłuszna biegła rota  
Jej wiernych sług, jej krewnych cały ród:  
Więc pełzła w ślad siostrzyca jej, Ciemnota,  
Choroba, Mór i chudy syn jej — Głód.

„Wyrzucicie myśli z głów, bo mózgi wam pokruszę,  
Poplączę myśl, w szaleństwo was pogrązę;  
Zagaście ogień serc, bo zmrozę serca; dusze  
Spowiję w mrok! Ciemnota — jam wasz księżę!“

„Myśl — to nasz wróg. Gdy w głowie się wylęże,  
Ciemnocie szeptał Głód:

„Ty zaduś ją w iskerce,  
Jak dalej zechce snuć, chorobę rzuć na serce,  
A jeśli to twych celów nie dosięże,  
Zawezwij Mór i mnie i cały ród!“

„Jam silny, — wiesz — przeniknę wszystkie nerwy,  
Wyzuję z sił, z krwi całej wezmę łup,  
I będę ssał, wnętrzności rwał bez przerwy,  
Aż śmierci w dań zostanie siny trup!“

„Bezдушny trup, odarty z czuć, swobodny,  
Bo nad nim nic, śmiertelny jeno chłód.  
Tak zduszę myśl — ja, groźny, wiecznie głodny,  
Wasz straszny pan, królewski syn, ja — Głód!“

I rozpuściwszy szpon jastrzębich ostre końce,  
W ponury hymn zawyła mroczna moc:  
„Ten naród już jest nasz! Zgaszone jego słońce!  
Hej! więdźmy go w jassyru wieczną noc!“

Wtem strzelił grom  
I błysk, co w niebie drzemie,  
Jak złoty miecz,  
Rozpłatał chmur płaszcz ciemny.

Demonów złych  
Zadrzało całe plemię,  
I zdjął je lęk,  
Przeniknął dreszcz tajemny.



I straszna cisza nad ziemią zastygła,  
Gwiazdy niebieskie wstrzymały obroty,  
W chmurze stężała błyskawica śmigła,  
Lśniła, jak sztaba pozębiona w groty;  
Wstrzymał się obłok, piorunem rozdarty,  
I wstrzymał księżyc, niby rycerz złoty,  
Co nad gwiazdami sprawia nocne warty,  
I nieruchomie stał w jasnej przyłbicy.

Świat czekał cudów wielkiej tajemnicy:

Stąd, gdzie się kończy drogi mlecznej piana,  
Lśniąca, jak w słońcu drobne pyły rosy,  
Gdzie tylko czasem kometa zbłąkana,  
Gdy prawidłową drogę swoją straci,  
Wpada, rzucając w tył rozwiane włosy,  
Spływały hufce świetlanych postaci,  
Jak złota rzeka w nieprzerwanym ciągu.

Z przodu Myśl biegła: twarz jej była chłodna,  
Piękna, jak rysy greckiego posągu,  
Tajników wiedzy, prawdy nowej głodna;  
W badawczym oku, co do głębi sięga,  
Błyszczała duma, siła i potęga.  
A gdy zawisła nad srebrną kurzawą  
W chaosie dotąd krążącej mgławicy,

Bieg regularny dała jej i Prawo  
Chwyciło berło w tej nowej stolicy.

Za nią Uczucie kierowało loty:  
Twarz miało zmienną—to uśmiech w niej błysnął,  
To pokrywała ją chmura tęsknoty,  
To kryształ łzawy na rzęsach zawisnął.  
Na śniadem czole żył nabrzmiały pręgi,  
Szalonym rytmem tętniały mu skronie,  
Lica paliły dwa rumieńca kręgi,  
Usta mu drgały, a w szerokim łonie  
Krew się kłębiła, jak w wulkanie lawa.

Leciało szybko, a u jego boku  
Biegła Nadzieja lekka i wesola,  
Niosąc pociechę w lazurówym oku;  
A z drugiej strony smutna, cicha, łzawa,  
Leciała Litość w postaci anioła.  
I tak, za ręce ująwszy się zgodnie,  
Płynęły razem po błękitnym szlaku  
Niby trzy wielkie płonące pochodnie,  
Trzy złote pióra w rycerskim szyszaku,  
Trzy srebrne ptaki, trzy gołębnie skalne!  
Za nimi Miłość przyspieszała kroku:  
A rysy miała boskie, idealne;  
Mgłę rozmarzenia niosła w ciemnym oku,

Dyszała szybko. Dłonią swą namiętą  
Przykryła nagość okrągłego łona,  
Tuliła serca szalonego tętno,  
A długie włosy na białe ramiona  
Spływały złotym i rześistym deszczem;  
Gwiazdę musnęła w biegu włosów końcem  
I gwiazda, zdjęta nowych uczuć dreszczem,  
Stała w ogniach i spłonęła słońcem!

Dalej Fantazya mknęła w strasznym pędzie:  
Szalone oczy, szeroko rozwarte,  
Utkwiła w przestrzeń za świata krawędzie,  
Biła gwałtownie w swe skrzydła podarte,  
Rozum hamował jej loty wędzidłem.

Wtem wszystkie duchy wstrzymały się nagle,  
Zawisły w niebie z rozpostartem skrzydłem  
I tak wisiały bez ruchu, bez szmeru,  
Jak w ciszę morską odrętwiałe żagle—

Twórczość szła zwolna z lotnego eteru:

Postać natchniona— zaduma głęboka,  
Jak mgła spowiła szlachetne jej lica.  
Oko spokojne. Tylko czasem z oka  
Wytryskał płomień, niby błyskawica,  
I gasł. Włos bujny ciągnął się jak chusta

Szeroka, długa — nie dojrzałem końca; —  
Gwiazdy się w włosy plątały i słońca  
I w nich błyszcząły, jak drogie dyamenty.  
Ujrzała duchy, otworzyła usta  
I głos popłynął, gdzieś z głębin wyjęty,  
Piersiowy, niski, jak dźwięki w organie:  
„Wy, duchy wszystkie“ — mówiła — „wy moje!  
Z początku czasu nad wami hetmanię.  
I dziś prowadzę was znowu na boje  
I na zwycięstwo nowe was prowadzę.  
W nieprzeliczonym wieków długim ciągu  
Martwe przedmioty uznały mą władzę:  
Zimne marmurów drżą przede mną bryły  
I gdy im każę, to z twardego głazu  
Powstaje postać cudnego posągu,  
Pełna uczucia, życia i wyrazu!  
Bo w nim zaklęta częśćka mojej siły.  
Kształty słuchają, słuchają mnie farby  
I struna słucha, gdy dotknę jej ręką,  
To mi odkrywa wszystkich uczuć skarby,  
Potężnym hymnem, albo pieśnią mięką,  
Rzewną, łagodną ucho moje pieści.  
I puste słowa słuchają mnie dźwięki,  
I gdy im każę, to zwiążą się w rymie,  
I w krótkich wierszach — wielka myśl się zmieści,

Duchowych głębin wyrażając jęki  
I sławiąc moje nieśmiertelne imię“.

„Tylko Demoni, ci synowie cienia  
Śmia mi uragać i znieprawiać ludy,  
Którym rzuciłam w pierś iskrę tworzenia,  
By mogli stwarzać sami sobie cudy.  
Czarny gatunek tak się zaczął plenić  
Na łonie ziemi i lud nasz wziął w pęta,  
Że orły grozi w ród kruków zamienić,  
A lwy potężne—w lękliwe szczenięta!“

Umilkła, w oku promień gniewu mignął,  
Czoło spłonęło łuną oburzenia;  
Świat truchlał cały i od lęku stygnął,  
A wielka zgraja czarnych synów cienia,  
Drżąca od trwogi, zbijała się w stada;  
Pijana wściekłością, czując chwilę zgonu,  
Zawyla głucho i z rozpaczą w twarzy  
Gnała naprzeciw lśniącego legionu.

I jak chorągiew skrzydlatych husarzy,  
Gdy ją napadnie Tatarów gromada  
I całą tłuszczą na barki się zwali,  
Jak lśniąca gwiazda w ciemnym mrowiu ginie,  
Czasem gdzieś tylko lanca się zapali,  
Hełm pozłocisty na chwilę wypłynie

I mignie białe pióro strusiej kity,  
Zresztą mrok wkoło gęsty, ciemny, zbity,—  
Tak hufiec duchów znikł w cienie spowity.

I słychać było, jak powietrze warczy;  
Potem na czarnem gęstej chmury ciełe  
Ogniste centki, jak węgle w popiele,  
Jeły się żarzyć; potem, jak krąg tarczy,  
Rosły i w wielkie zmieniły się słońca,  
Potem ognistej błyskawicy smuga  
Rozdarła chmurę od końca do końca,  
A zanim zgasła, wystrzeliła druga  
I rozplątała łono chmur na ćwierci.  
Za nią tysiące były ognia deszczem  
W piersi demonów. Ze stygmatem śmierci  
Na sinych wargach, pokurczona dreszczem,  
Cała ich tłuszczą pobita i zmięta,  
Głową w dół lejąc, z okropnym skowytym  
Runęła na dół w Oceanu głębie...

Otwarłem oczy, stargawszy snu pęta.

A właśnie była to chwila przed świtem;  
Strzępy chmur drobnych, jak siwe gołębie,  
Błądziły ciche, lekkie i powiewne;  
Gwiazdy na niebie—te nocy łyzy rzewne—  
Schły. Cisza wielka panowała wszędzie.

Czułem, że noc już przed słońcem ucieka,  
A fale morza tajemnicze, śpiewne  
Szeptają sobie w cudownej legendzie  
Wieść o poranku, co idzie z daleka!...

\* \* \*

Umilkł, a jeszcze konająca kwili  
Ostatnia struna, lecz i ta umarła.  
I zwolna mijał moment niemej chwili,  
Krótkiej, jak przedział od serca do gardła.

Raptem, z odgłosem pierwszego oklasku,  
Pierwszy krzyk wzleciał urywany, prędko  
I pierwszy wianek rozbił się na piasku,  
Plamiąc arenę w różnobarwne centki.

A za tem hasłem trysnęły kaskady  
Oklasków, krzyków; jasnych wieńców wstęgi,  
Kwiatów i liści różnobarwne deszcze  
Biły w arenę, jak kolorów grady.

Dajmon bez ruchu stoi i śni jeszcze  
Melodyą serca, a wzruszenia kręgi  
Ognistą plamą wypełzły na lica.  
Pierś mu się wzdyma jakąś nową żądzą,  
W oczach się pali nowa błyskawica,  
I drżące palce znów po strunach błędzą.

Drgnął dźwięk, jak rozkaz i gwar zwolna kona;  
Wstrzymał się okrzyk, który był już w ustach,  
Zastygły ręce, złożone do brawa!  
Cisza, a w ciszy potok słów Dajmona  
Taki gwałtowny, jakby mu w upustach  
Duszy coś pękło, wybuchnął jak lawa.

„Los się rozstrzygnął, śpiewacy, minstrele!  
Za błękitami huf zwycięzki płynie,  
Twórczość z Miłością stąpają na czele,  
Witając światłość w każdej gwiazdy bryle,  
Lecz tam, na łądów ziemi tej dolinie  
Jeszcze swe orgie sprawia cieniów tłuszcza  
I całą ludzkość tarza w brudnym pyle  
I na świat cały klęski swe rozpuszcza“.

„Ale najszerzej rozwinęły harpie  
Na naszym łądzie swe ponure znamię,  
Tam, w tej najkrwawszej w całym globie plamie  
Lud się w rozpaczy z widmem śmierci szarpie“.

„Tam oczy, ślepe od płaczu, błękitu  
Nie mogą dojrzeć, ani słońca w niebie!  
Tam klnie swą dolę każdy prorok świtu,  
Aż wszystkie iskry najlepsze zagrzebie  
I, połamany torturą męczeństwa,  
Zapomni szlaków, co do nieba wiodły,



---

---

Zaprze się wszystkich znamion człowieczeństwa  
I zacznie pęłzać, jak zimny gad podły!“

„Geniusza dławią tam siły brutalne,  
Tam orłom młodym podcinają skrzydła,  
Tam zaprzęgają w jarzmo kozy skalne,  
Dla duszy ludzkiej tam piszą prawidła!“

„Tam z młodu biorą wszystkie dzieci drobne  
I, by z nich prędzej stali się nędznicy,  
Na jeden model kują dusze młode,  
By wszystkie były do siebie podobne,  
Jak pieniądz w jednej wybity mennicy;  
Tam już u źródła zatrzuwają wodę;  
A gwiazdy za to, że jeszcze promienne,  
Chętnie by z nieba zerwano rozkazem!“

„Tam łkać nie wolno, tam nie wolno kochać!  
Nie wolno myśleć, mieć marzenia senne!..  
Nie! takiej ziemi nie ująć wyrazem,  
Trzeba by o niej płakać, jęczeć, szlochać!..  
Albo wam z piersi pokazać me serce  
Krwawe, pokryte nienawiści pleśnią!“

Tu mu się słowa splątały w rozterce,  
Bo myśl skołała na szczytach wzruszenia.  
„Hej! precz z tej wyspy!— Z nowych świtów pieśnią  
Dążmy na pomoc bracia!— Hej na lądy!“

---

---

Krzyknął ostatkiem woli wysilenia  
I raptem zdusił strun rozdrżane prądy.

Tłum zastygł w ciszy, jak rzeźba z kamienia.

I słyhać było, jak się łza przewierca  
Przez dusz pokłady i pod rzesą kręci,  
Jak szybciej biją u słuchaczy serca,  
I krew po żyłach przelewa się prądem...  
Powstały mary, drzemiące w pamięci,  
I ze wspomnienia najmniejszego szczątku  
Miłosny węzeł zerwanego wątku  
Pomiędzy wyspą związał się a lądem.

Lecz gdy tak dusze we wspomnieniach grzęzły,  
Ze smutnych wirów mętnego wzruszenia  
Lęk się wynurzył o własne istnienia  
I porozluźniał zadzierzgnięte węzły.

Jęły się smagać sprzecznych uczuć tętna,  
Na obie strony chwiejąc woli szale;  
Gdy naraz wyszła rozwaga wykřętna  
I, ochłodziwszy tłum w pierwszym zapale,  
Spokojność bytu podbijając w cenie,  
Wyrachowaniem zatrula sumienie.

Serca ścisnęły samolubstwa liny,  
Na twarz wybiły jakieś mroczne chmury,

I iść po tłumie zaczął szept ponury,  
Rosnąc co chwila, niby grzmot lawiny,  
Aż buchnął w końcu okrzykami gniewu.

I tłum, podnosząc ku trybunie pięście,  
„Zamilknij! — wołał — dosyć twego śpiewu!  
Na całą wyspę chcesz ściągnąć nieszczęście!  
My ciebie, śmiałku, nauczym rozumu!...  
Błąd swój naprawmy — odbierzmy mu wieńce!“  
Chór zgodnych głosów wyłonił się z tłumy,

I na ten okrzyk, jak rabusiów bandy  
Wpadł tłum w arenę. — Aż się trzęsły ręce,  
W tak podnieconym gorączką pośpiechu  
Zrywali z piasku wraz z piaskiem girlandy,  
Pchając się wzajem i tratując kwiaty,  
Barwne świadectwa spełnionego grzechu.

A na ten widok twarz Dajmona chustą  
Bładość spowila; wszystkiej krwi szkarłaty  
W pierś mu spłynęły, że omal nie pękła.  
Powiódł po tłumie źrenicą tak pustą,  
Straszną, jak gdyby za nią dusza zmarła,  
Aż się tych źrenic powieka wylękała  
I drgać zaczęła gwałtownie na oku...

Wtem nagle z tłumu naprzód się wydarła  
Garstka śpiewaków.— Wyrwawszy się z tłoku  
W szalonym pędzie, aż dzwoniły struny  
Lir, przepasanych wstęgami przez ramię,  
Jak wichler wpadli na szczyty trybuny  
I tam z szlochaniem płaczu, co nie kłamie,  
Rąk swych miłosnych zarzuciwszy sploty  
Na pierś Dajmona, na głowę, na szyję—  
„Tyś nasze—łkali—wyśpiewał tęsknoty,  
Mgłę dążeń naszych rozproszył... Niech żyje  
Dajmon, król! Wodzu! kieruj naszym lotem!“

Dajmon, oniemion wzruszenia nadmiarem,  
Ze łzami składał na głowach ich dłonie.  
A właśnie w chwili tej—spadł księżyc złotem  
Na całą grupę i objął ją czarem  
Smutnych promieni. I stali w koronie  
Blasków, jak święci w męczeństwach aureoli.

A tam w arenie tłum milczący, chmurny  
Szczątkami wieńców darzył podług woli  
Trzech poprzedników, co stawali w szranki.  
I wkrótce herold otrąbił, że z urny  
Głosowań wyspy najliczniejsze wianki  
Temu z pieśniarzy przypadły w udziale,  
Który cudowne dziś wyśpiewał trele  
O każdym wdziękku swej nowej kochanki.

PIEŚN II.



**M**a wyspa króla—ale od tej pory,  
Jakby z niej pierzchli wesela anieli,  
Widmo Dajmona z garstką wichrzycieli  
Mąci wyspiarzom spokojne wieczory.  
A codzień biały świt wschodzi z nowiną,  
Co, jak ptak trwożny z ust na usta leci,  
Bo—rzecz okropna!—ludziom z domu giną  
Najrozumniejsze i najlepsze dzieci.

Już pierwszej nocy od chwili turniei  
Jedyne szczęście, syn wielkich nadziei,  
Śpiewak, co smutnym był słowikiem w domu,  
Pieszczoch rodziców—bez żadnej przyczyny  
(Skarżył się tylko, że mu ciasno w murach)  
Wykradł się z jedną lirą pokryjomu  
I do Dajmona przystąpił drużyny,  
Co wyszła z miasta i przepadła w górach...

Tam, poprzez lasy zadumane w ciszy,  
Nad urwiskami, granitowym wałem

Dajmon prowadził swoich towarzyszy  
Na górę, co się zwała Idealem.

Była to ciężka, twarda, wężka droga,  
Stroma, że w otchłań, zdawało się, runie;  
Szczyt góry ginął w tumanu mgławicach,  
Wyniosłym wirchem wspinał się do Boga,  
A on nań schodził czasami w piorunie  
I szeptał o czymś światu w błyskawicach.

Boże te znaki, co bez echa w sercu,  
Bez śladu w duszy minęły dla ludzi,  
Nabrzmiałe gromem w lawiny kobiercu  
Drzemały złote na owej wyżynie,  
Czekając chwili aż je człowiek zbudzi.

Tam wódz wskazywał drogę swej drużynie,  
A gdy spoczęli na skalistym zwale,  
Dajmon ze smutkiem powiadał im o tem,  
Że nie należą do wybrańców rodu,  
Którym Bóg serca nalał czystem złotem,  
I dusze kował w przezroczym kryształe,  
Tak, że są jasne od wierzchu do spodu.

„Chwili przełomu — mówił — myśmy dzieci;  
Lecz także grzechów ojców spadkobierce:  
Żądza użycia, nabytek stuleci,  
W głąb duszy wrosła, plami nasze serce!“



„Z gruntu krzywdami przesiąklej wysepki  
Od urodzenia piliśmy bezwiednie  
Jad samolubstwa, a w puchach kolebki  
Grzechy śmiertelne były nam powszednie“.

„Lecz dziś, zatłona iskra w sumień próchnie  
Wznieca w nas ognie święte, bo ofiarne;  
Trza ją rozdmuchać, niech pożarem buchnie,  
Ogarnie dusze, przetrawi w nich męty,  
I serca nasze od trucizny czarne  
Na przezroczyste przetopi dyamenty!“

„Więc za mną, w górę! Niechaj dusza czerstwa  
W jędrnem powietrzu z suchot się wyzwoli,  
Niech się do wyżyn dźwignie bohaterstwa,  
Lotów zawrotnych niechaj dozna szału  
I posłannictwo swe spełniając godnie,  
Zejdzie w promiennej światła aureoli  
Na padół płaczu — gwiazdą ideału  
Zapalać ludzi, jak żywe pochodnie!“

„Patrzcie w tę przepaść, gdzie dym mgły się wierci,  
Gdzie czysty potok w tęczowych łez pyle  
Tłucze pierś srebrną o kamienie twarde,  
Bo, może, kiedyś i nam z widmem śmierci  
Przyjdzie się szarpać w ciemnicy mogile,  
Więc przywykajmy mieć dla niej pogardę!“

„Patrzcie na orła, co swych skrzydeł końcem  
Przemaga falę powietrza upartą  
I leci w niebo witać się ze słońcem  
Żrenicą jasną, dumną, bo otwartą!  
Nam jak ten orzeł żyć i walczyć trzeba:  
Całym rozmachem wewnętrznej potęgi  
Łamać przeszkody i wyniosłym duchem  
Porwać za sobą świat w słoneczne kręgi,  
A serca ludzkie otwierać dla nieba!“

Umilkł, szedł wyżej, a za nim łańcuchem  
Cała drużyna po urwisku stromem  
Pięła się w górę, śledząc z żarem w oku  
Szczyt, co majaczył w gorącym obłoku  
I znikli wkrótce za ścieżki załomem...

W mieście tymczasem zatruwała życie  
Trwoga, co w końcu do popłochu wzrosła,  
Gdy pewnej nocy zbiegły z domu skrycie  
Brat z siostrą, dzieci królewskiego posła,  
I zostawiły zagadkowe słowa,  
Na ścianie węglem skreślone w pośpiechu:  
„Bądź zdrów, nasz ojczel! i matko, bądź zdrowa!...  
Przebaczcie! chwila rozłąki nas boli...  
Lecz iść musimy — przekleństwo niedoli  
Z łądów, a z wyspy — zdjąć przekleństwo grzechu!...“

W dni kilkanaście po owym wypadku,  
Co był ostatnim, nagle, jak błysk gromu,  
Obiegła wyspę wieść o jakimś statku  
I wypędziła na plac wszystkich z domu.

Tam pewien wyspiarz ze wzruszenia błądy,  
Co z własnej chęci, ale z króla wiedzy  
Wybrał się rankiem w góry na wywiady,  
By się przekonać, co robią ci zbiedzy,  
Ciągnął w te słowa: „Patrzę się z doliny,  
Coś się ze środka góry na dół zsuwa...  
Myślałem zrazu, że kawał lawiny.  
Aż ci tu moją uwagę przykuwa,  
Że wkoło ludzie: drużyna Dajmona!  
Omal mi serce nie rozbiło łona  
I z ciekawości i ze strachu razem!  
Więc się do skały przytuliłem płazem  
I co sił miałem, wyteżyłem oczy.  
Widzę: to nie śnieg — to statek się toczy.  
Na okrągłakach pościnanych kłocy  
Naprzód go pchali całą siłą mocy.  
Przeszli koło mnie o jakie dwa kroki.  
Szedłem za niemi aż na brzeg zatoki  
I sam słyszałem na własne me uszy,  
Jak Dajmon mówił, że dziś na ląd ruszy.  
Więc nazad z wieścią biegłem bez tchu prawie

Prosto do króla. Przyjął mnie łaskawie  
I zaraz radę zaprosił do stoła“.

Umilkł i zaczął pot obcierać z czoła,  
Tak był zmęczony, bo w ciągu godziny  
Powtarzał w kółko treść swojej nowiny.

Ale tym razem mógł zażyć spoczynku,  
Bo pytającym w wyrazu połowie  
Głos się załamał; zebrani na rynku  
Poculi w szpiku kości zimne mrowie  
Dreszczu przecucia, że coś się rozstrzygnie,  
Że los wyciąga z ich przeznaczeń koła  
Wyrok, nad którym Bóg „stań się!“ zawoła.

I nagle wszyscy, jak gdyby w malignie  
Ujrzeni widmo: że oto w ich stronę  
W tak strasznym pędzie, że aż oddech stygnie,  
Z pokrzywdzonego przez nich lecą łądu  
Bożego gniewu anioły czerwone,  
Dzwoniąc w miecz zemsty i krwawego sądu.

Zmrużyli oczy, potok krwi obfity  
Zaparł się w piersiach, lęk pochylił głowy,  
Jak gdyby z pochwy już miecz wydobyty  
Zwieszał nad nimi swój połysk stalowy.

A kiedy w końcu tłum podniósł powieki,  
Odzyskał zmysły i przyszedł do siebie,  
Dostrzegł w błękitach blask, jakby daleki  
Meteor we dnie przeleciał po niebie.

Więc się na chwilę zamyślili smutnie  
Nad tem, co znaczy zjawisko nieznanne?  
Lecz zaraz potem wszczął się gwar i kłótnie,  
Tłum jął się cisnąć pod pałacu ścianę,  
A pomruk głuchy, niby szmer pszczoł z ula,  
Wzrósł w groźny okrzyk: „Królu! chcemy króla!“

Po chwili wyszedł na ganek król błądy,  
A lud mu krzyczał, że dość tej narady,  
Że niechaj zaraz, natychmiast, bez zwłoki  
Idzie z orszakiem nad brzegi zatoki,  
By ich zatrzymać władzą, prośbą, siłą...

Próżno król myślał przemową zawilą  
Lud uspokoić, trafić do rozumu.  
Jak w dzień turnieju, tak dziś więcej niczem  
Nie był, jak sługą namiętności tłumu;  
Więc musiał słuchać i, smagany biczem  
Złowrogich spojrzeń, szedł, udając króla,  
W płaszczu, w koronie, nakształt drogiej lalki.

A dzień był piękny: lazur bez chmur skazy,  
Ponad lawiną promienista kula,

Jak znicz płonęła. Śniegi, jak westalki  
Białe, przejęte ogniami ekstazy,  
Topniały w żarach boskiego oblicza.  
Wszystko milczało w zachwyceniu cichem,  
A w ciszy kwiaty rozwartym kielichem  
Biły hymn wonny na cześć słońca-znicza.

Złorzecząc w duszy gorącemu niebu  
Tłumy wyspiarzy znużone, ponure  
W kierunku morza drogą, co szła w górę,  
Ciągnęły, milcząc, jak orszak pogrzebu.

Wreszcie się wdarli na szczyty wyżyny,  
Skąd droga nagle spadała do dołu,  
I tu stanęli, bo porwał im oczy  
Ogromny obszar zielonawo-siny  
I z nieprzepartą potęgą żywiołu  
Zmusił je błądzić po swojej roztoczy.

A gdy się w końcu z pod władzy olbrzymia  
Zdołały wydrzeć rozwłózione wzroki,  
Wnet się skupiły na łonie zatoki,  
Szukając pilnie, czy tam czego niéma.

W miejscu, gdzie morze wżarło się w skał ramę,  
Przy samym brzegu zobaczyli płamę  
Jasną, jak róży zawinięty płatek  
Na tle zielonej, przywiedłej murawy.

Ktoś szepnął: „mewy“, a ktoś krzyknął: „statek!“  
I tłum w dół spłynął, niby potok lawy.

Tak — to był statek mały, rodzaj barki.  
Znać było z kształtów wdzięcznych, że go wznieśli  
Tacy pieśniarze i takie pieśniarki,  
Co w duszy mają doskonalsze miary  
Niżli gruntwaga i cal w ręku cieśli.

Wgłębiany w środku nakształt wielkiej czary,  
Zgrabny i mocny budynek szkieletu,  
Zbity misternie, jak forma sonetu,  
Jak sonet związły był i niezbyt ciężki.

Przód — ścięty ostro, jak w wierszu rym mężki;  
Po bokach rzędem, w przerwach jednej mety  
Sterczały równe, niby strofki, wiosła.  
Postawa masztów prosta i wyniosła  
Strzelała w niebo, jak myśli poety.  
Po masztach węzłem zwieszały się liny,  
A każda lina, jak zwrotka tercyny,  
Była spleciona potrójnem wędzidłem.  
Żagle w spokojnym, miarowym rozwiewie,  
Jak śpiewne rytmy, kołysząc swem skrzydłem,  
Bujały barkę — pieśń, zakłęta w drzewie.  
Jak tytuł pieśni, na maszcie u góry  
Igrała w słońcu bandera z purpury.

Właśnie załoga w wesołym pośpiechu  
Zaczęła miejsca zajmować na statku;  
Więc pełno było w nim gwaru i śmiechu.  
Dajmon, zapewne, miał wsiąść na ostatku,  
Bo stał na brzegu i czekał kolei,  
Patrząc na morze. Od czasu turniej  
Młodzian widocznie zmienił się głęboko:  
Zdawał się wyższym — tyle w ciała glinie  
Ubyło wagi — jakby już jedynie  
Miało być ducha widomą powłoką.  
Z twarzy zniknęło piętno zwątpień wielu  
I stygmat męki wewnętrzznego boju;  
A za to na niej legł wyraz spokoju,  
Czynnej odwagi, pewność dróg i celu.  
Znać było z blasku szlachetnego oka,  
Że go rozwidnia myśl jasna i szczerza,  
Wiara w dzień jutra i miłość głęboka;  
Że po zwycięstwie tego bohatera  
Nie splami ziemi ludzkiej krwi posoka,  
I że przy jego tryumfalnym wozie  
Żadna istota nie pójdzie w powrozie,  
Tryumf nikomu nie będzie żałobą.  
A gdy tak cały w słońcu nad zatoką  
Stał, nagle szmery usłyszał za sobą,



Więc się odwrócił, i tu oko w oko  
Jego i króla zbiegły się źrenice,  
I drgnęli obaj, a drużyny obie  
Zdrętwiały w ciszy, czując tajemnicę  
Chwili spotkania swego w ich osobie.

Ledwie się spojrzeń skrzyżowały groty,  
Obaj dusz głębią odgadli odrazu,  
Że niema dla nich wspólnego wyrazu,  
W którym by mogli złączyć swe istoty,  
Że wręcz przeciwnie drżą im w sercach struny,  
Że są dwóch światów sprzecznych dwa bieguny,  
I w tej postaci nie mogą się spłynąć,  
Lecz jeden zmienić musi się lub zginąć!

I gdy tak wzrokiem nawzajem się bili,  
Wiedząc, że los ich w tej chwili się waży,  
Królowi cera pobladła na twarzy,  
Jakby coś przeczuł. A Dajmon w tej chwili,  
Chcąc, widać, koniec położyć tej walce,  
Na tkliwe struny rzucił lekkie palce,  
Aż ta najśłodsza tonem wszechprzebaczeń  
I wszechmiłości zadźwięczała cicho.

Lecz król wyspiarzy nie pojął jej znaczeń  
I, błędnie słysząc skruchę w owym tonie,

Z radością w oczach i z zacieklą pychą  
Spytał wyniośle: „co robisz Dajmonie?“

— Żołnierz przed bitwą sprawdza celność strzałów,  
A ja próbuję sprawności mej broni,  
Czy strojna struna i czy czysto dzwoni?—

— Cóż to za bitwa?—

— W imię ideałów!—

— Dokąd płyniecie?

— Na ląd, na plac bitwy!

— Po co?

— By krzewić tam słowa tajemne  
Cudownej, zbawczej i wzniosłej modlitwy,  
Która jest w sercach, lecz, że mózgi ciemne,  
Więc się nie może przedostać do myśli!

— Czy was kto wołał, zmusza, byście przyszli?

— Jęk nas tam woła, zmusza—obowiązek!

— Zleż wam na wyspie?—

— Ta wyspa— to krążek,

Który się trzyma na powierzchni fali

Trudem ginących w topieli koralu.

Nam na niej straszno i sumienie chore!...

— Cóż was przeraża?

— Że jeśli się w porę

Nie opamięta wyspa, to się zwali  
Kiedyś w odmęty i polip ją strawi...

— A tyś bohater, który nas wybawi!—  
Przerwał król wyspy z odcieniem szyderstwa,—  
Próżno się stroisz w płaszcze bohaterstwa,  
Mnie nie uwiodą barwnych słów matactwa,  
Choć zręcznie usnuł twój umysł kaleki  
Wzory wicherzenia nowego sposobu...

— Królu! więc wicherzyć—to pragnąć bogactwa,  
Które na wyspie zgromadziły wieki,  
Uczynić skarbcem dla całego globu;  
Pragnąć, by życie przestało być mordem,  
Chcieć wszystkich zgodnym połączyć akordem,  
Ludzkość ogarnąć tchnieniem jednej pieśni  
I w każdym duszę zbudzić słowem: „wskrześnij!...”

— Milcz!— król zawołał,— boś już tajemnicę  
Akordów stracił. W tej samej godzinie,  
W którejś zapragnął jakąś służebnicę  
Z pieśni uczynić, rzuciła tve wnętrze;  
Bo pieśń wcieleniem duszy jest jedynie,  
Tyś jej prawidło podeptał najświętsze!—

A Dajmonowi brwi zwały się łuki  
I rzekł, zwracając się do swojej łodzi:

— To jest król wyspy, a więc nam się godzi  
Sprostować jego o pieśni nauki:

„Wyrazem duszy — pieśń, rzekłeś prawdziwie,  
Ale chybiłeś, robiąc nam zarzuty,  
Czyż każdy pieśniarz ma w twoim motywie  
Jedynie czerpać dla swej pieśni nuty?“

„Wszak śpiewak wtenczas jest tylko fałszerzem,  
Gdy się z tą pieśnią, z którą zawarł śluby,  
Szczerzej miłości nie złączył przymierzem!  
Więc niech o sobie pieją samoluby!  
A kto się kocha w jutra jasnych łunach,  
Ten, jak my, hejnał wydzwania na strunach!  
Jak matka, przyszłe miłująca dziecię,  
Pragnie połogu, choć nieraz uśmierca  
W chwili, gdy dziecko zjawia się na świecie,  
Tak my pragniemy całą mocą serca  
Przyjścia dnia tego, po którego świcie  
W takt naszej pieśni zagrzmi ludzkie życie;  
Choćby to było dla nas znakiem końca,  
Jak dla jutrzeńki zjawienie się słońca,  
Będziem szczęśliwi, bo w śmierci godzinie,  
Gdy się nowego bytu kończy krzykiem,  
Niema zniszczenia. Ten kształt nowy życia,

Co się wyłoni z czasów upowicia,  
Jak gdyby naszym stanie się pomnikiem“.

„My go budzimy dziś pieśni swęj siłą;  
Gdy my pośniemy — on znów w wieków ciągu  
Co świt, jak kolos Memnona posągu,  
Hymn wznosić będzie nad naszą mogiłą!“

Umilkł. Król również milczał, widząc jasno, —  
Że jest pobity bronią swoją własną.  
W tłumie zaś zaczął krążyć szmer surowy,  
Że król do rzeczy bierze się niezdarnie;  
Więc, chcąc niechęci zaród zabić w ziarnie  
I błąd naprawić, król zmienił ton mowy  
I rzekł łaskawie:

„Posłuchaj Dajmonie,  
Teraz do ciebie — nie jak król w koronie —  
Ale jak człowiek mówię do człowieka:  
Zostań! choć mógłbym — proszę, a nie każe!  
Za grzech młodości nikt was nie obwini,  
Skoro wrócicie, kara was nie czeka.  
I myśmy niegdyś gonili miraże,  
Lecz — starzy — wiemy, że ten sen pustyni  
Im rozkoszniejszy, tem szybciej ucieka“.

„Na wyspie macie spokój i dostatek,  
Miękkie posłanie, dach nad głową cichy,

Opiekę ojców i troskliwość matek,  
Stół zastawiony i pełne kielichy.  
Wszystko to rzucać i puszczać się w drogę,  
Gdzie gromy biją, gdzie huczą zawieje,  
Gdzie gorycz fali oczy wam zaleje;  
Tego, doprawdy, zrozumieć nie mogę!“

„Tak, boś ty nie był tam, gdzieśmy się wdarli,  
Na niebotycznych wyżyn strome zręby,  
Wyżej niż orły kładą swe kolebki,  
W dole pod nami chmur wisiały kłęby,  
A za chmurami wasz świat płaski, karli  
Roił się w punkcie drobniutkiej wysepki“.

„Wzrok nasz poleciał dalej, na obszary  
Łądów: bolesne to były widoki!  
Rozległe pola—jałowe; nad niemi  
Gęstej mgły smutne wisiały opary,  
Niby stężałych łez ciężkie obłoki“ ...

„Zrazu nas słońca zalał blask czerwony,  
Lecz miał oślepnąć wzrok w świetle wymyty,  
Jak z katarakty odarty zasłony  
Ostrowidzowej raptem nabrał siły,  
A krew zawrzała tak gorącym prądem,  
Jakby nam słońca nalało się w żyły“.

„Oczy dostrzegły przez gęstej mgły wstęgi,  
Że nad tą ziemią i nad całym lądem  
Tajemnym światłem drgają widnokregi...

„Wówczas na szczycie słowami przysięgi  
Myśmy przyrzekli przed obliczem słońca,  
Że póty żaden z nas nie złoży broni,  
Aż dzień idący ze mgły się wyłoni.  
I obietnicę spełnimy do końca!  
Bo kto raz, królu, dotknął stopą nogi  
Wirchu, na którym myśmy wtenczas byli,  
Kogo raz oblał taki spokój błogi,  
Jakiśmy czuli w tej podniosłej chwili,  
Gdy głos przysięgi zabrzmiał uroczysty,  
Komu raz słońce zajrzało tak w oczy,  
Jak nam, kto zajrzał sam w słoneczne kregi,  
Kogo swem tchnieniem taki wichur czysty,  
Jak ten, co w piersi nasze wpadł, otoczy,  
Kto raz w swych żyłach uczuł żar potęgi,  
Kto, jak my, stojąc na wyniosłym szczycie,  
Jednym spojrzeniem objął całe życie  
I, przeczytawszy terażniejszych księgi,  
Zobaczył przyszłość, jak otwartą kartę,  
Na której ogniem świecą zgłoski Boże,  
Ten owej chwili zapomnieć nie może

I jej obrazy nosi w sercu na dnie  
Wiecznie, i skrzydła trzyma rozpostarte,  
Jak ptak, gotowy do nowego wlotu,  
I za nic niżej, niż był, nie upadnie.  
Słuchaj! Nas z turni zoczył orzeł dumny  
I chciał doścignąć, lecz dostał zawrotu  
W połowie drogi i spadł na dół głową,  
A ty chcesz od nas, żebyśmy do trumny  
Waszej z tych szczytów wrócili na nowo  
I złote jarzma włożyli na karki...  
Nigdy! — Ty panuj sobie nad wysepką!  
Nasz zamiar dojrzał i nic go nie pognie!  
Żegnaj! —

I Dajmon skokiem wpadł do barki,  
Sznury kotwicy zerwał dłonią krzepką,  
Aż zadrżał statek spuszczonej z wędzidła.

W latarniach jego wnet błysnęły ognie,  
Żagle chwyciły wiatr w rozpięte skrzydła,  
Wiosła się zgodnie podniosły w szeregu,  
Ze szczytu masztu porwał się zwój flagi,  
Pałac się szlakiem purpury, jak zorza;  
I statek w szybkim, ale równym biegu,  
Jak łabędź pełen wdzięku i powagi,  
Ślizgał się lekko po turkusach morza.



Król i tłum został, jak wryty na brzegu,  
Patrząc na statek w milczeniu ponurem,  
Jak mknie po fali, jak omija wiry  
I brzmi pieśniami: słyhać dźwięki liry  
I głos Dajmona, przeplatany chórem.

GŁOS.

Przypatrzcie się, bracia: od morskiej potęgi,  
Od pełni mórz życia oderwał wir kręgi,  
By sam mógł pożerać, co wpadnie.  
Samolub! Zacieśnił swój obręb istnienia,  
Zna tylko obwody własnego pierścienia...

CHÓR.

Polipa wstrętnego ma na dnie!

GŁOS.

Mijajmy te wiry! To morza są zera!  
A kto się w nich skąpie, na wieki umiera,  
Chociażby ocalił swe życie!  
Więc bijmy we wiosła, przyspieszmy bieg szparki,  
By ślina tych wirów nie wpadła do barki!

CHÓR.

Ogarnąć by mogło ją gnacie!

## GŁOS.

Nam Twórczość i Miłość, jak chrzestni rodzice,  
Swych darów do serca włożyły skarbnice,  
Nadając pieśniarzy nazwiska!  
Więc pieśniarz, co swego imienia nie brudzi,  
Ma czerpać z tych skarbów i siać je wśród ludzi..

## CHÓR.

I stwarzać miłości ogniska!

## GŁOS.

Tak, bracia! Rozpalim ogniskiem tej siły  
Stygnący i ciemny, ponury glob bryły,  
W słoneczne dźwigniemy go kręgi!  
Sterujmy ku lądom, gdzie walka zażarta,  
Gdzie każda historii splamiona krwią karta.

## CHÓR.

Odwróćmy stronicę tej książki!

## GŁOS.

Z podszeptów aniołów wpiszemy w nią sądy,  
Wzduymajcie się żagle! Pędź barko na lądy,  
Gdzie boskich odbłaski zórz gasną!  
Żeglujmy, a szybko, by prędzej wśród dolin  
Rozpocząć zasiewy powszechnych wyzwolin!

## CHÓR.

A ziarna polejmy krwią własną!

## GŁOS.

Gdzie najpierw lądować? Na statku się wole  
Oddajmy! Ach, patrzcie: zatacza półkole,  
Ster sam swą rękojeść przewierca!  
O dziwo! tak cicha tu roztoz, bez prądu!  
Dlaczegoż do tego skierował się lądu?

## CHÓR.

Bo w stronę tę biją nam serca!

## GŁOS.

Jak biją, jak ciągną ku drogiej tej stronie,  
Gdzie wszystkie kaliny w łez krwawej koronie,  
Bo krew tam buchała, jak krater!  
Gdzie woda potoków od gorzkich łez mętna,  
Gdzie wszystkie gorętsze stłumione są tętna...

## CHÓR.

Pod każdą mogiłą bohater!

## GŁOS.

Jak biją! Lecz inne są jeszcze przyczyny,  
Że słusznie ster skręcił do owej krainy...  
Więc dążmy wciąż naprzód i głośmy donośnie,  
Że wolny powszechnej miłości Bóg rośnie,

Co trumny podźwignąć ma wieka!  
Jak niegdyś z targowisk oczyścił świątynie,  
Tak dzisiaj oczyści dusz ludzkich naczynie...

CHÓR.

I zrobi świątynią człowieka!

GŁOS.

Co ludzkość wyśniła w cudownej legendzie  
O Bogu-człowieku, to dziś się odbędzie:  
Cud w ludzkich się piersiach uczyni,  
Więc spieszmy do nizin — o wielkiem tem święcie  
Zwiastować, bo tam się ma odbyć poczęcie...

CHÓR.

Tam kamień węgielny świątyni!

GŁOS.

Hej! rwijmy głos, struny! A może usłyszą,  
Że płyniem. Pieśń wstrząśnie posępną dusz ciszą  
I zbudzi śpiącego w niej Boga!  
Mężnemu sił doda; podłemu wyrzutem  
Serdecznym wypali jad w sercu zatrutem...

CHÓR.

Dajmonie! drga fala złowroga!

## GŁOS.

Nic! Nawet, jeżeli śmierć wróży nam fala,  
To wróżba to piękna, że z pereł, z korala  
    Śmiertelne mieć będziem wezglowie.  
A może w szumiące otoczy nas kiry  
I będzie łać życie przez srebro strun liry...

## CHÓR.

A lira mu o nas opowie!

## GŁOS.

Więc śmiało, bez trwogi żeglujmy po fali!  
O, patrzcie, tam patrzcie! widzicie: w oddali,  
    Jak gdyby z mórz, smuga wyrosła!  
Łąd! Hura! Ach, co to? Czy słyszysz drużyno,  
Wyraźnie z tej strony odgłosy tu płyną.

## CHÓR.

Tak, prawda!... Stać, cofnąć w tył wiosła!

I jak albatros, w lot przesyty strzałą,  
Spada na morze i w dreszczach umiera,  
Tak się w rozpędzie wstrzymał statek nagle  
I drżał na fali, niby ptaka ciało;  
Jak krew po maszcie spływała bandera,  
Jak skrzydła, białe dygotały żagle,  
Jak pisk żałosny, gięte fali ruchem

Skrzypiały wryte w morze wioseł drągi.  
A na pokładzie, obróciwszy twarze  
W kierunku lądu, z wytężonym słuchem,  
Tak nieruchomi, jak żywe posągi,  
W różnych postawach zastygli pieśniarze.

Od smugi lądu przez szlak morza siny  
Szedł głos i w stronę statku rwał się gwałtem,  
Głos wyluskany z wyrazów łupiny,  
Które nie mogły mu już służyć na nic,  
Bo w nim to było, co się żadnym kształtem  
Słów ująć nie da, bolesność bez granic.

Ze smutnym jękiem pęka klinga szabli,  
Gdy ją z rozpaczy łamie rycerz dumny;  
Boleśnie szemrzą bijące kolumny  
Dymów ze stosów ofiar wszystkich Abli;  
Okropnie dźwięczy wieko dziecka trumny,  
Gdy grudka matki upadnie nań z siłą,  
A czas jest chmurny i mżą wkoło deszcze...  
Wszystko to razem w owym głosie tkwiło  
I wiele więcej... A znać było jeszcze,  
Że to, co woła, choć chce, nie uderza  
Całą rozpaczą, nie krzyczy ratunku!  
Bo jakiś potwór boleść mu odmierza,  
Liczy westchnienia i żąda rachunku

Z każdego jęku, z każdej krwi kropelki,  
Dusząc, co przejdzie skalę jego miary.

I tak głos leciał przez morza obszary  
W swem pognębieniu okropny i wielki,  
Serca pieśniarzy szarpiąc bólu prądem.  
Aż naraz osłabł, bo mu podciął skrzydła  
Jakiś wiatr nagły, co nakształt straszycła  
Pomiędzy statkiem przeleciał a lądem,  
I znikł gdzieś w dali, a z drżących zwierciadeł  
Powierzchni morza, jak roje widziadeł  
Cudne postaci rusałek wyblęły.  
Omdlałe w ruchach, z namiętnością w twarzy  
Jęły śpiewami wabić słuch żeglarzy,  
Sieć czarów rzucać na wszystkie ich zmysły.

Najbliższa w pianistej, przezroczej odzieży  
Załkała, jak arfa; głos tkliwy i świeży  
Szaloną nabrzmiewał pieszczotą:  
„Pójdź do mnie! — prosiła gorąco i miękko —  
Posłanie z mchów własną uścielę ci ręką,  
Owinę cię w włosów mych złoto!”

„Do twego, posłuszna, przygarnę się łona  
I piersi różowej całować dam grona,  
Żar krwi mej krew twoją nasyci!  
Koralem ust pełnym tve wargi wypieszczę,

Dam wszystkie omdlenia, dam wszystkie ci dreszcze  
Mej młodej, dziewiczej kibici!“

„Pójdź!—druga szeptała, namiętna, jak serce—  
Z przepychu mych włosów pachnące kobierce  
Na morskim uścielę ci mule!  
Odślonię ramiona od żarów aż smagle  
I piersi wyniosłe, spragnione i nagłe  
Do piersi twej obie przytulę!“

„W noc oczu głębokich zapalę ogniska,  
A łona mojego drgająca kołyska  
W snu błogą cię uśpi godzinę!  
Oplotę ci szyję rąk pełnych ciężarem,  
Z omdlenia ocucę całunków pożarem,  
Bo pragnę i z pragnień tych ginę!“

„Deszcz pieszczot mych troskę ci z czoła wypłoszy,  
Dajmonie! kwiat—rosie, ja wszystkich rozkoszy  
Kielichy otwieram dla ciebie!  
Pójdź! zmieszaj swe włosy z mych włosów hebanem  
Twe szaly z mym szalem, kochankiem bądź, panem  
I bogiem jedynym w mem niebie!“

„A kiedy w twych splotach bezsilna, wybladła  
Upadnę bezwładnie, a oczu zwierciadła  
Wilgotnej zasnują mgły ciemnie,



Ust pąki rozchyłę i tkliwy szept miękkie  
Drgnie tobie słodyczą miłosnej podziękę —  
Pójdź do mnie, czyż błagam daremnie? „

„Daremnie!“ — Dajmon z nutą groźby w głosie  
Odrzucił wyraz ku rusalek stronie —  
Czar żadnych pokus dróg naszych nie zmyli,  
Ofiar na waszym nie spalimy stosie;  
Samson bezsilny wyszedł z rąk Dalili,  
A nam sił trzeba więcej, niż w Samsonie,  
Bo tam na łądzie ojczystej rodziny  
Herkulesowe czekają nas czyny!“

„Na dolę szczytną święceni, lecz twardą,  
Musimy mocno trzymać żądź swych wodze,  
Tysiące pokus stanie nam na drodze  
I, jak tę, każdą trza odrzucić z wzgardą“.

„My zatrutego nie tkniemy kielicha,  
Więc precz!...“ I wyraz, co lży i odpycha,  
Zgodnemi głosy powtarzany dźwięczy.

I na ten okrzyk, jak łąn kwiatów ścięty,  
Rusalki z jękiem upadły w odmęty,  
Znak zostawiając rozlewnych obręczy,  
Co się rozbiegły po łonie roztoczy,  
A kiedy w statku uderzyły progi,

Żądne, snać, pomsty na widok załogi,  
Gorzkim wyrzutem bryznęły jej w oczy.

Zmącił się lazur, a zaraz się potem  
Z morskich obszarów porwał wiatr na nowo,  
Z przeciągłym gwizdem i skrzydeł łoskotem,  
Zdyszana pierś nad żeglarzy głową,  
Niby posępna mara się przewinał,  
Wzburzył powietrze i nagle gdzieś zginął.

A w ślad za wichrem ujrzała drużyna,  
Jak się toń morza z lazurowej — sina,  
Z sinej zaś brudna stawała i mętna,  
Jak warcząc, fala na falę się wspina  
I jak w głębinach szumiącej roztoczy  
Jakieś olbrzymie szamocą się tętna,  
Buchając na wierzch białej piany potem.

Więc w niebo wzniosła załoga swe oczy,  
A tam, jak ołów, ściemniały błękity;  
Wielkie obłoki, kładąc się pokotem  
Jedne na drugich, jak cieniów wał zbity,  
W postaci chmury ruchomego szańca  
Pełzły po niebie od północy krańca.

Znikąd pociechy nie mając, pieśniarze  
Sobie nawzajem popatrzyli w twarze,

I myśl im jedna trysnęła z pod powiek  
I zgodnym rytmem serce im zabiło;  
Za wiosła razem, jako jeden człowiek,  
Chwycili wszyscy i z podwójną siłą  
W kierunku lądu pchnęli nagle statek.  
Skrzypnęły wiosła i łódź chyżo biegła.

Tymczasem w niebie już ostatni płatek  
Błękitu ciemnym owijał się kirem —  
I naraz cisza tak straszna zaległa,  
Że słyhać było, jak w pobliżu wirem  
Szarpana fala wre i w krąg się toczy,  
Wydając łkania tak dzikie, złowieszcze,  
Że mimowoli załoga swe oczy  
Tam obróciła — i przeszły ją dreszcze:  
Z miejsca, gdzie wściekły wir z wirem się splata,  
Gdzie wszystko ginie, a zbrodnia się rodzi,  
Jak olbrzym mroku, wstał zły Demon świata  
I szedł po mętach morza wprost ku łodzi.

Gniewnie zjeżyła mu się grzywa gruba,  
Na niskiem czole kłębzył nabrzmiął siny,  
Z posępnej, martwej twarzy samoluba  
Błyskały zimne oczy, jak dwie szpady;  
I szedł tak ku nim, niby śmierci zguba,

Ziejąc z przepaści ust ciemnej głębiny  
Mgłami zgryzoty, groźbami zagłady:

„Do lądu chcą dotrzeć, lecz ja ich nie puszczę,  
W skręt wirów oplączę ten statek, jak w bluszcze,  
Bałwanem pochowam go na dzień!  
Na wyspie i tutaj mnie groźni są jeszcze,  
Lecz skoro zaszczipią w ład buntów swych dreszcze,  
Moc władzy mej marnie przepadnie!“

„Chcą wydrzeć mi ziemię, na której się ciele  
Od wieku już pastwią mych potęg czciciele,  
Co służą mi dobrze i wiernie,  
Bo mnożą niewolę i w lochy, jak w trumnę,  
Spychają każdego, kto czoło swe dumne  
Podniesie—i wieńczą je w ciernie“.

„Na łanach, skąd miałem plon zebrać należny,  
Gdzie symbol mej władzy—potworny, drapieżny  
Ptak zaczął piskłętom wić gniazdo  
I dalej po łupy wyciągnąć miał szpony,  
Chcą zatknąć, zuchwalcy, swój sztandar czerwony  
I błysnąć światłami, jak gwiazdą“.

„Mnie widok tej flagi rozpaczą ogarnia,  
Żrenice przyćmiewa ich statku latarnia,

To światło tak strasznie się pali!  
Hej, wicherze, rwij szmatę złowrogą na ćwierci!  
Zgaś światło, zgaś światło, to widmo mej śmierci!  
Ach, prędzej!... Grzmij, burzo! Hej, dalej!“

Zadrzał, ku łądom cofał się przed łódką  
I ginał zwolna w oddaleniu mglistem.  
A na znak dany zerwał się ze świstem  
Szalony wicher i zagrział pobudką.

Jęły się kłębić chmury aksamitne,  
Zawrzało morze, czarne, jak atrament;  
I nagle ognie mignęły błękitne,  
I huk, jak gdyby zwałił się firmament,  
Wstrząsnął powietrzem... Piorunowym strzałem  
Rażony w odmęt upadł pieśniarz młody.  
Wir go pochwyił i bezwładnem ciałem  
Miotał, jak wściekły, po powierzchni wody,  
Krażąc zataczając zeszywniałym trupem,  
Jak gdyby chciał się pochłubić swym łupem.

Trup trzymał lirę w zaciśniętej dłoni,  
A struny, rwane przez fal ciemne kręgi,  
Zabrzmiały hymnem olbrzymiej potęgi;  
I kiedy pieśniarz pogrążył się w toni,  
Hymn z nim nie przepadł, bo w tej samej chwili  
Na statku nutę jego podchwycili,

I pieśń w kilkakroć na sile urosła,  
A wraz z nią rosła też wściekłość żywiołu:

Z góry deszcz lunął, a fale od dołu  
Szarpały sterem, czepiały się wiosła,  
Plując na statek potokami piany.  
Z morza wyjrzały ogromne bałwany  
I rozjuszone wskoczyły do barki,  
Chwyciły statek na mokre swe karki  
I niosły chwilę, a potem go w nurty  
Rzuciły nagle i przez brzegi burty  
Jeły przewalać swe cielska olbrzymie.  
W posępnej chmury kłębiącym się dymie  
Płomień migotał prawie ciągłą smugą,  
Tak błyskawica szła jedna za drugą.

Lecz ile razy piorun buchnął strzałem,  
Za każdym razem zwój czerwonej flagi  
Rzucił jaskrawą odpowiedź zniewagi.  
Burza z wściekłości stawała się szałem:

Wzdęło się morze, zniżyły się chmury,  
Grom się przetoczył, ryknęły bałwany,  
Piętrząc się jedne na drugie, jak góry.  
Przeciągłym gwizdem zawyły orkany  
I, mącąc nieba i morza obszary,  
W górze nad statkiem, szukając ofiary,

Zaczęły krążyć, jak drapieżne sępy,  
Aż na szczyt masztu rzuciły się w gwałcie  
Szarpać banderę i drzeć ją na strzępy,  
A potem gęsta mgła na morze spadła.  
Brudne tumany w fantastycznym kształcie  
Jęły po falach tańczyć, jak widziadła,  
By z morzem, z chmurą i wichrem pospołu  
Pognębić grozą tego statku męstwo,  
Co, jak myśl jasna, w ślepcie żywiołu  
Podjął się walczyć o śmierć lub zwycięstwo.

Aż w końcu chmurę z powierzchnią odmętu  
Mgła połączyła; jak płachta obmokła,  
Pełna ohydy, goryczy i wstrętu,  
Wszystko dokoła całunem powlokła.  
Ale, ilekroć błysk całun rozdziera,  
Z cieniów wykwita stargana bandera  
Czerwienią taką tryumfalną, dumną,  
Jakby wiedziała, że nie po nad trumną,  
Ale kolebką życia się rozwiewa.

A gdy na chwilę osłabnie ulewa,  
I ryk przycichnie rozhukanej fali  
I wichry przerwą melodyę swą wściekłą, —  
Słysząc, jak w mrokach pieśń potężna dźwięczy,  
I widać światło; znać, że płyną dalej.

Lecz znowu burza wybucha, jak piekło;  
Prócz niej—nie słyhać, nie widać nic więcej.

. . . . .  
Dziś nic nie widać, lecz kto okiem ducha  
Gąszcz mgły przebije, ten zobaczy jasno,  
Że nie zgruchocze statku zawierucha,  
Że wrogie wichry nie zerwą mu flagi,  
Że w burz zawiei światła nie pogasną  
I że załodze nie zbraknie odwagi.

Ona swą flagę barwiła krwią własną,  
Budując statek, brała drzewo czyste,  
Co w żarze słońca i na szczytach rosło,  
Od pleśni grzybów i skaz wolne drzewo.  
Zeń maszty wzniosła statkowi strzeliste,  
Zaopatrzyła go w wytrwałe wiosło,  
W ster sprawiedliwy, co nigdy na lewo,  
Lecz zawsze w stronę prawą się przewierca;  
A z myśli jasnej, przed którą mrok pryska,  
Wznieciła świetne, jak gwiazdy, ogniska.  
I, patrząc w kompas szlachetnego serca,  
Wśród pokus morza, gromów i zawiei  
Wiedzie go naprzód po szlakach idei...

Ojców, wrzesień 1899 r.











Biblioteka WSP Kielce



0168237